

Nie tylko pobić Trumpa

Proces o impeachment Donalda Trumpa zaczął się w styczniu br. przed Senatem amerykańskim, a w lutym zaczęły się w obu partiach prawybory, w których w czerwcu każda z nich wyłoni swoich kandydatów na prezydenta i wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Wybory prezydenckie odbędą się w listopadzie br. Jedni demokraci, z Joe Bidenem na czele, mają za cały program jedynie pobicie Trumpa. Inni, z Bernie Sandersem na czele, są bardziej dalekowzroczni.

Odkąd Donald Trump zainstalował się w Białym Domu, personalizacja polityki amerykańskiej osiągnęła paroksyzm. Jego oświadczenia, tweety, fantazje, jego egocentryzm dręczą kraj – i go wyczerpują. Natomiast media zacierają ręce, gdyż dysponują atrakcyjnym towarem. W rezultacie każdy mówi tylko o Nim. Jedyna ambicja republikanów to uwieńczenie championa bezspornym autorytetem w ich obozie. Demokraci spierają się o środki, które pozwoliłyby jak najszybciej „pozbyć się” tak niebezpiecznego prezydenta. Jego usunięcie jest jednak bardzo nieprawdopodobne, toteż mają nadzieję, że prawybory pozwolą wskazać, kto będzie miał szansę wysadzić go z siodła w listopadzie br.

„Jeśli zadowolimy się usunięciem go”, zauważa jednak lewicowa eseistka Naomi Klein, „to powrócimy do poprzedniej sytuacji, tak niedobrej, że pozwoliła mu wygrać.” Jej zdaniem lepiej zająć się przyczyną niż walczyć z objawem. Andrew Yang, jeden z 12 zgłoszonych do prawyborów zawodników z Partii Demokratycznej, myśli podobnie. „Media doprawdy nam nie pomagają ukrywając przyczynę, dla której Donald Trump został prezydentem. Oglądając jakiś kanał informacyjny wyobrażacie sobie, że rezultat ten wyjaśnia mieszanka Rosji, rasizmu, facebooka, Hillary Clinton i jej mejli. Amerykanie wiedzą jednak, że to nieprawda. Straciliśmy 4 mln miejsc pracy w przemyśle, głównie w Ohio, Michigan, Pensylwanii, Wisconsin, Missouri”, tzn. w stanach Środkowego Zachodu, w których obecny prezydent wygrał w 2016 r. wybory, nieraz niewielką przewagą głosów i ku powszechnemu zaskoczeniu. „Im bardziej zachowujemy się tak jakby Trump był powodem wszystkich naszych problemów, tym bardziej Amerykanie wątpią w naszą zdolność dostrzegania i rozwiązywania ich codziennych problemów.” [\[1\]](#)

W oczach centrowych frakcji Partii Demokratycznej, głównie reprezentowanej przez Josepha Bidena, zastąpienie obecnego prezydenta bez zagłębiania się w

warunki, które przyniosły mu zwycięstwo, jest jednak ewidentnie korzystne pod jednym względem: uniewinnia tych, którzy nie potrafili z nim walczyć wtedy, gdy mieli czym, tzn. Hillary Clinton, Baracka Obamę i... jego wiceprezydenta.

W ten sposób ryzykuje się wyprodukowaniem nowego Trumpa, potencjalnie bardziej niebezpiecznego, nie tak gotowego zniechęcić do siebie przechwałkami sporą część elektoratu, mniej niepoprawnie narcystycznego, mniej ignorującego międzynarodowe układy sił i w rezultacie potrafiącego znaleźć sobie w kraju i za granicą sojuszników służących prowadzeniu plus minus identycznej polityki, czego destrukcyjne skutki byłyby jeszcze większe niż obecnie.

Przypomnijmy sobie: w listopadzie 2008 r. większość Amerykanów była zadowolona i dumna. Wprowadziła do Białego Domu młodego senatora afroamerykańskiego, który obiecywał „nadzieję” i „zmianę”. Jego wybór przygniótł Partię Republikańską, którą wielu uważało za reakcyjną, bigoteryjną, wysługującą się bogatym, militarystyczną i tym groźniejszą, że nie brakowało jej poparcia w środowiskach najuboższych [2]. Zamiast nadziei szybko nadeszło rozczarowanie, zmiana była skromna i wiadomo, kto przyszedł po Obamie.

Trump, który chciał odróżnić się od swojego znienawidzonego poprzednika, nie lawirował w obliczu nieprzyjaciół. Po drodze zbanalizował wiele takich zachowań, jak wulgarność, drapieżność, rasistowskie i seksistowskie wypowiedzi, gloryfikacja przemocy, nieustanne kłamstwo, co jest dostatecznie udokumentowane, toteż nie trzeba tu wchodzić w szczegóły. Jednocześnie w obozie demokratycznym zaroilo się od niepokojących skłonności.

Ich lista również jest długa: kwestionowanie wyborów powszechnych, kiedy przynoszą one niewygodny wynik, bezkrytyczny i obłudny ogląd historii Stanów Zjednoczonych aż do tego przeklętego dnia, w którym wszystko zepsuł wybór Trumpa, gloryfikacja zachodnich sojuszków wojskowych, które nagle okazały się „postępowe” tylko dlatego, że obecny prezydent proklamuje *America First*, Ameryka przede wszystkim, heroizacja agencji wywiadowczych, ponieważ wprawiają one Białą Dom w zakłopotanie, aranżując kompromitujące prezydenta przecieki informacji (i rozmów telefonicznych) do mediów, a wreszcie celebrowanie wielkich mediów prywatnych, które są nietykalne, kiedy tylko Trump wścieka się na nie głośząc, że ich działalność sprowadza się do produkcji *fake news*.

Socjologiczna bańka

W listopadzie 2016 r. 22% białych Amerykanów bez dyplomów, którzy głosowali na Obamę w wyborach prezydenckich w 2008 i 2012 r., przeszło do obozu republikanów [3]. Zwolennikom Clinton trudno było oskarżyć o rasizm tych wyborców, którzy dwukrotnie urządzili afroamerykańskiemu kandydatowi plebiscyt, więc wyjaśnili tę dezercję ich seksizmem lub łatwowiernością prostaków, tym łatwiej manipulowanych fałszywkami rosyjskiego pochodzenia, że to ciemniacy. Myśl o tym, że do klęski doprowadziła destrukcyjna polityka wolnego handlu i zamykanie się w socjologicznej bańce gardzących innymi mieszczuchów z dyplomami, niedługo dręczyła demokratów.

Ta społeczna krótkowzroczność nie przejawia się jedynie na niwie wyborczej. Kiedy szybowała oglądalność pierwszych odcinków serialu *Roseanne*, w którym główne postacie to robotnicy i inni pracownicy najemni, farmerzy, a nie projektanci, dziennikarze czy profesorowie języka płciowo neutralnego, prezeska kanału American Broadcasting Company (ABC) zwierzyła się ze swojego zdumienia mówiąc: „Dotychczas poświęcaliśmy dużo czasu trosce o różnorodność pod względem koloru skóry, wyznania, płci. Nie dość zajmowaliśmy się natomiast różnorodnością ekonomiczną. Sukces *Roseanne* przypomina nam o tym, że jest wiele osób, które nieczęsto oglądają się w telewizji.” [4]. Trzeba zatem było, aby wygrał Trump eksploatując ludowe resentymenty wobec „elit” intelektualnych, aby producenci i scenarzyści otrząsnęli się nieco ze swojej kreatywnej drętwoty.

Taka przytomność umysłu jest jednak rzadka. Wykształcona i miejska wyższa klasa średnia, która głosuje na demokratów, zwłaszcza w Nowym Jorku i Kalifornii, zazwyczaj wyciąga z faktu, że ubodzy i nie posiadający dyplomów biali Amerykanie okazują rosnące poparcie Trumpowi, wniosek, iż w ogóle nie należy się nimi interesować. Dlatego kandydat w prawyborach demokratycznych, którego uważa się za czołowego przedstawiciela tej klasy, zbytnio się o nich nie troszczy. Pod tym przynajmniej względem imituje zachowanie swojego poprzednika: Obama ogłosił, że jest solidarny z proletariatem afroamerykańskim, łudził go symbolami i pięknymi słowami, lecz nigdy nie podjął walki z ładem społeczno-gospodarczym, który proletariat ten przytłacza.

Obława na pieniądze wroga

Aby dopiąć swego, miliony Amerykanów dążących do „pozbycia się Trumpa”

rzekomo zadowolą się byle kim – i byle czym. Niech tylko Trump kogoś obroni, a oni zaraz zamienią się w jego oskarżycieli; niech tylko coś zaatakuje, a oni zaraz zamienią się w obrońców tego samego. 5 lutego 2017 r., zaledwie 15 dni po tym, jak wprowadził się do Białego Domu, na Fox News ultrakonserwatywny prezenter Bill O'Reilly zarzucił mu, że nie potępił Władimira Putina, a przecież to morderca. Trump, niewzruszony, odpowiedział: „Jest wielu morderców. Uważam, że nasz kraj również popełnia wiele mordów. Czy myśli pan, że nasz kraj jest taki niewinny?”

Demokratyczna senatorka Amy Klobuchar, obecnie kandydująca do prawyborów w swojej partii, czym prędzej oburzyła się, że prezydent Stanów Zjednoczonych śmie porównywać wstrętą Rosję z jej cnotliwym krajem. W artykule wstępny *New York Times*, który wraz z kanałami Cable News Network (CNN) i MSNBC robi za bojówkę centrowej frakcji Partii Demokratycznej, dano z patriotycznym zadęciem wyraz oburzeniu, ponieważ „dotychczas afirmacja wyższości moralnej i politycznej Stanów Zjednoczonych nad Rosją nie była dla prezydentów amerykańskich delikatną operacją. Zamiast przypomnieć o amerykańskiej wyjątkowości, Trump zdaje się cenić brutalność Putina i zasugerował, że Ameryka zachowuje się tak samo” [5]. Analogia tak bardzo wstrząsnęła Nancy Pelosi, obecną przewodniczącą demokratyczną Izby Reprezentantów, że bezzwłocznie zażądała, aby Federalne Biuro Śledcze (FBI) zbadało finanse nowego prezydenta i sprawdziło czy nie szantażuje go rząd rosyjski. Dziś ta bardzo przecież inteligentna osoba powtarza nieustannie, że „z Trumpem wszystkie drogi prowadzą do Putina”.

Choć z *Russiagate* niewiele pozostało po złożeniu wiosną ub. r. sprawozdania przez Roberta Muellera, specjalnego prokuratora do nadzorowania federalnego śledztwa w sprawie zarzutów o ingerencję Rosji w wybory prezydenckie w 2016 r., (bezowocna) obława na ukryte w Gabinetach Owalnym pieniądze wroga stanowiła obsesyjne zajęcie demokratów – i mediów – przez dwa pierwsze lata prezydentury Trumpa [6].

Militaryści i służby w cenie

Stworzyło to paranoiczną atmosferę, która pośrednio przyczyniła się do nieustannego wzrostu budżetu wojskowego (osiągnął on 738 mld dolarów), co cieszyło się poparciem przytłaczającej większości kongresmenów i kongresmerek z obu partii (jednym z nielicznych wyjątków był senator Bernie Sanders).

Myśl o tym, że „demokrację amerykańską atakuje Władimir Putin” na podobieństwo cesarskiej Japonii atakującej w 1941 r. Pearl Harbor – porównanie takie często się pojawia – stała się oficjalną religią większości przeciwników Trumpa. A przecież demokracja amerykańska ma większe zmartwienia niż kilka fałszywych kont na facebooku wywierających nikły wpływ na opinię publiczną: obecny prezydent wygrał w 2016 r. ze swoją rywalką nie większością, lecz mniejszością 3 mln głosów, a jednym z konkurentów demokratycznych w obecnych prawyborach jest inny, jeszcze bogatszy od niego miliarder nowojorski Michael Bloomberg.

Umiarkowane skrzydło Partii Demokratycznej i jego medialne stacje przekąźnikowe oparły swoją krucjatę antyrosyjską na najbardziej militarystycznych i wykazujących mentalność policyjną elementach społeczeństwa. Jak regularnie wskazuje dziennikarz Glenn Greenwald, któremu – podobnie jak Edwardowi Snowdenowi, Chelsea Manning i Julianowi Assange – zawdzięczamy lepszą wiedzę o rozmachu amerykańskiego szpiegostwa, „niemal nie sposób oglądać MSNBC czy CNN i nie napotykać co rusz generałów w stanie spoczynku i byłych agentów CIA [Centralnej Agencji Wywiadowczej] lub FBI, którzy teraz pracują w tych mediach jako zawodowi komentatorzy, a nawet jako reporterzy” [7].

Umiarkowani demokraci bez żadnych skrupułów korzystają z usług służb wywiadowczych, które są znane z zabójstw opozycyjnych działaczy po litycznych i organizowania zamachów stanu za granicą. Widzą w nich wysepki „oporu” wobec samowładnego prezydenta. Czyż zresztą to nie analityk CIA dokonał w sierpniu ub. r. przecieku jego rozmowy telefonicznej z szefem innego państwa, a konkretnie z prezydentem Ukrainy? Poddany z tego powodu procedurze impeachmentu Trump ma zatem pewne powody skarżyć się na próby destabilizacji politycznej jego prezydentury przez własne „głębokie państwo” [8]. Czy należy zatem cieszyć się, czy martwić tym, że to samo czeka ewentualnego prezydenta Sandersa? [9]

Reagan i Bush na święczniku

Przywódcy Partii Demokratycznej nie zadowolają się zaszczepianiem swoim zwolennikom miłości do służb wywiadowczych. Nie szczędzą również pochwał byłym prezydentom republikańskim, aby skonstrastować ich w ten sposób z ich dziwnym sukcesorem. Biden odznaczył więc George’a W. i Laurę Bushów na znak

uznania dla ich zaangażowania na rzecz kombatantów – przynajmniej tych, którzy – jak można sobie wyobrazić – powrócili żywi z wojen w Iraku i Afganistanie. Michelle Obama ogłosiła, że przepada za George’em W. Bushem, „cudownym człowiekiem” [\[10\]](#).

Rozpowszechnił się termin *Trumpwashing*, który oznacza gloryfikowanie przez demokratów najbardziej odrażających elementów prawicy amerykańskiej, gdy tylko zdarza im się krytykować Trumpa czy gdy tylko Trumpowi zdarzy się ich skrytykować. Nawet pamięć o Ronaldzie Reaganiu korzysta na tej gotowości demokratów do upiększania przeszłości, co jest tym bardziej paradoksalne, że w ciągu minionych trzech lat amerykańska polityka zagraniczna była raczej mniej mordercza niż w ciągu minionych dziesięcioleci.

Strategia polegająca na ograniczaniu międzynarodowego zaangażowania Stanów Zjednoczonych cieszy się tymczasem popularnością w kraju, w którym po 11 września 2001 r. „bój o demokrację” uzasadniał interwencję wojskową lub utrzymywanie 240 tys. żołnierzy w 172 krajach i obszarach, za czym, jak widzieliśmy, stoi roczny budżet wojskowy, opiewający na sumę ponad 700 mld dolarów. Fakt, że zabójstwo irańskiego generała Ghasema Solejmaniego, którego przecież „gładko sprzątnięto”, nie okazało się korzystne dla Trumpa, potwierdza na swój sposób niechętny stosunek społeczeństwa amerykańskiego do „wojen bez końca”.

Zbyt często jednak kandydaci demokratyczni prezentują się jako gwaranci restauracji handlowego i strategicznego ładu światowego, którzy od trzech lat burzy Trump. Zwłaszcza Biden broni traktatów o wolnym handlu i utrzymania amerykańskiego kontyngentu wojskowego w Iraku oraz zachwala NATO. W głośnym artykule w rodzaju tych, które czytaliśmy w najgorętszych chwilach zimnej wojny, zażądał prowadzenia polityki polegającej na frontalnym przeciwstawianiu się Rosji w celu „obrony demokracji przed jej wrogami” [\[11\]](#).

Skrzydło postępowe

Dlaczego by nie pójść jeszcze dalej? Pewien bliski prawicy izraelskiej felietonista *New York Times*, egzaltowany zwolennik wszystkich interwencji wojskowych Stanów Zjednoczonych – także tych, z których one zrezygnowały – zaproponował, aby demokraci zaradzili niedomaganiom Białego Domu w sprawach międzynarodowych i stali się partią imperium. Delektując się co nieco

paradoksem uznał, że polityka „odwrotu” i „naiwności” Trumpa, szczególnie na Bliskim i Dalekim Wschodzie, pozwala jego adwersarzom politycznym stać się jedynymi prorokami *Pax Americana* przeciwko Syrii, Rosji i Korei Północnej [12].

Postępowe skrzydło Partii Demokratycznej nie zamierza odgrywać takiej roli. Podobnie jak Sanders, Elisabeth Warren proponuje wycofanie wszystkich wojsk amerykańskich z Bliskiego Wschodu i Afganistanu. Senator Sanders, daleki od systematycznego występowania z pozycji odwrotnych niż Trump, pozytywnie odniósł się rok temu do jego spotkania z prezydentem północnokoreańskim Kim Dzong Unem, mówiąc: „Jeśli Trumpowi uda się pozbawić ten kraj jego broni nuklearnej, to będzie to bardzo dobra rzecz, życzę mu powodzenia” [13]. Kilka miesięcy później, świadomy tego, że systematycznie zaciekły charakter opozycji demokratów wobec republikańskiego prezydenta pozwala przyjacielom Bidena maskować odmowę dokonania przeobrażeń strukturalnych, których wymaga społeczeństwo amerykańskie, oświadczył: „Jeśli cały czas będziemy atakować Trumpa, to demokraci przegrają” [14].

Pytanie, które dziś należy im postawić, to raczej pytanie, czy mogą wygrać. Kandydaci centrowi uzasadniają umiarkowany charakter swoich propozycji tym, że nie chcą płoszyć wyborców pragnących skończyć z ekscentrycznością Trumpa, ale nie pragnących wywrócenia stołu. Uważają *status quo* za tym bardziej godne akceptacji, że wyniki gospodarcze i notowania na giełdzie nie wydają się przemawiać na rzecz zmiany kursu.

Sanders i w mniejszej mierze Warren uważają natomiast, że awersja do obecnego prezydenta w społeczeństwie może pozwolić im, jeśli wygrają prawybory, na uzyskanie akceptacji dla radykalnych propozycji ze strony tych warstw społecznych, które w normalnych czasach odmawiały takiego poparcia. Zarazem mają oni nadzieję, że inne, zdemobilizowane, gdyż nie wierzące już w politykę elektoraty mogą powrócić do urn, jeśli zaoferuje się im perspektywę prawdziwej zmiany (uspołeczniona opieka zdrowotna, podwojenie płacy minimalnej, rewolucja ekologiczna), a nie tylko perspektywę prezydenta, który przywróci Amerykę sprzed czterech lat.

Wybór między tymi dwiema opcjami demokratycznymi jest co najmniej tak ważny, jak wybory, które odbędą się 3 listopada br.

tłum. Zbigniew M. Kowalewski

[ps2id id='161-2-1' target=''] [1] Debata kandydatów demokratycznych w Los Angeles 19 grudnia 2019 r.

[ps2id id='161-2-2' target=''] [2] Zob. S. Halimi, „Le petit peuple de George W. Bush”, *Le Monde diplomatique*, październik 2004 r.

[ps2id id='161-2-3' target=''] [3] S. Tavernise, R. Gebeloff, „They Voted for Obama, Then Went for Trump. Can Democrats Win Them Back?”, *The New York Times*, 4 maja 2018 r.

[ps2id id='161-2-4' target=''] [4] J. Koblin, M.M. Grynbaum, „«Roseanne» Reboot Sprang From ABC’s Heartland Strategy After Trump’s Victory”, *The New York Times*, 29 marca 2018 r.

[ps2id id='161-2-5' target=''] [5] „Blaming America First”, *The New York Times*, 7 lutego 2017 r.

[ps2id id='161-2-6' target=''] [6] Zob. A. Maté, „Un cadeau des démocrates à Donald Trump” oraz S. Halimi, P. Rimbart, „Tchernobyl médiatique”, *Le Monde diplomatique*, maj 2019 r.

[ps2id id='161-2-7' target=''] [7] G. Greenwald, „The Inspector General’s Report on 2016 FBI Spying Reveals a Scandal of Historic Magnitude: Not Only for the FBI But Also the US Media”, *The Intercept*, 12 grudnia 2019 r., na theintercept.com.

[ps2id id='161-2-8' target=''] [8] Zob. S. Halimi, „Głębokie państwo”, *Le Monde diplomatique - edycja polska*, wrzesień-październik 2019 r.

[ps2id id='161-2-9' target=''] [9] M. Glennon, „Aux bons soins de la CIA...”, *Le Monde diplomatique*, lipiec 2018 r.

[ps2id id='161-2-10' target=''] [10] „Today”, NBC, 11 października 2018 r.

[ps2id id='161-2-11' target=''] [11] J.R. Biden, Jr., M. Carpenter, „How to Stand Up to the Kremlin. Defending Democracy Against Its Enemies”, *Foreign Affairs*, styczeń-luty 2018 r.

[ps2id id='161-2-12' target=''] [12] B. Stephens, „Will Democrats Become Born-

Again Neocons?", *The New York Times*, 24 października 2019 r.

[ps2id id='161-2-13' target=""/][13] CNN, 25 lutego 2019 r.

[ps2id id='161-2-14' target=""/][14] „Town Hall”, Fox News, 15 kwietnia 2019 r.